Nr. 47. We Lwowie, Poniedziałek dnia 24. listopada 1890

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Paryzka.

w listopadzie 1890.

(Stanley i jego przeciwnicy. — Oskarżenie porucznika Troup. — Demonstracja w Liverpoolu. — Dr. Peters. — Kardynał Maning i Żydzi. — Rocznica spisku prochowego).

Stanley, wielki Stanley, anglik, który naturalizował się na amerykanina a potem, kiedy królowa mianowała go baronem, denaturalizował się znowu na anglika i przybywszy do ojczyzny był przedmiotem takich wyróżnień i owacyj; ten Stanley miałby teraz uciec do Ameryki, aby uniknąć drażliwych wynurzeń w sprawie śmierci majora Barttelota?

Tak przecież głoszą jego przeciwnicy, a on ograniczywszy się na objaśnieniach bardzo wymijającej natury, odpłynął do ojczyzny Jonathana na parowcu „Teutonia", dając wolne pole domysłom. Niepodobna temu uwierzyć: jest w tem złość jakaś postronna, zawziętość jakaś. Człowiek tak olbrzymiej, największej bodaj w naszych czasach odwagi, nie może być jednocześnie siepaczem, za jakiego przedstawić usiłują Stanleya pewne osobistości. Opinia publiczna w Angliji nie tak przyjęła jednak oskarżenia, jakie na Stanleya się posypały, i aktualnej wycieczce jego do Ameryki towarzyszy nieledwie świst pogardliwy zamiast niedawnych, pełnych zapału okrzyków, wszędzie na cześć jego wznoszonych. Dla czego tak jest? Dla tego, że oskarżenia porucznika Troup przeciw Stanleyowi są jasne i stanowcze, a objaśnienia jakie dotąd dał Stanley, wcale tych przymiotów nie posiadają.

Troup oskarża Stanleya:

1. że w wyprawie swej do wnętrza Afryki miał jedynie na celu zdobycz materjalną, osobistą a mianowicie że chodziło mu o zebranie jak największej ilości rogów nosorożców i kłów słoniowych. 2. że kiedy doszedł już do takiej cyfry o jakiej myślał, nieproszony wybawca Emina baszy, aby coś robić, studjował obyczaje małp i pigmejczyków w głębi Afryki, nie bacząc na to, że nieszczęśliwi murzyni, zwerbowani przezeń w Zanzibarze do dźwigania ciężarów, padają od ukąszenia wężów i dzikich bestyi. 3. że nie dbając ani trochę o tych, którzy mu towarzyszyli a mając specjalne powody niechęci ku majorowi Barttelot, pozwolił najobojętniej zamordować go, co nawet było mu bardzo na rękę.

Na takie to straszne oskarżenia odpowiada Henryk-Marton Stanley, w następujący sposób w interwiewie z redaktorem „Daily Telegraph:"

— Barttelot nie został zamordowany. Zabił go jeden z naczelników, mszcząc się na nim za to, że uwiódł mu trzynastą żonę... I stało się to słusznie. Angielskie jury uniewinniłyby zabójcę. Zresztą gdybym chciał powiedzieć wszystko co wiem o Barttelocie, o moim przybocznym i poufnym towarzyszu, włosy powstałyby na twej, panie, głowie, krew by w tobie zawrzała... Nie przyznałbyś się do tego, że jesteś anglikiem!...

I więcej nic, na tem koniec.

Każdy przyzna, że to cokolwiek zamało w tych warunkach. Tak się nie mówi o człowieku, który już nie żyie, bez dowodów w ręku. A dowodów tych Stanley nie ma. nie produkuje ich. Ale jest brat majora, i silnie wzburzony temi oskarżeniami, żąda, aby Stanley usprawiedliwił je. Jak mówią, Stanley zaprzeczył temu, aby mówił źle o stronie zmarłego. A więc w takim razie cóż było? Dla czego włosy stawać mają na głowie od okropności spełnionych przez Barttelota? Czy to był łotr taki, zbój, zbrodniarz? Bynajmniej; a w każdym razie Stanley nie daje już dalszych objaśnień, tylko odjeżdża do Liverpoolu, aby ztamtąd odpłynąć do Ameryki, gdzie, jak wiadomo, ma wypowiedzieć szereg odczytów. Że w podobnych warunkach zakrawa to na ucieczkę, nie ulega wątpliwości.

Ale to najciekawsze, co się stało w Liverpolu. Oto niemniej nie więcej, tylko pewne grono oficerów miejscowych zasypało Stanleya zgniłemi jabłkami i ziemniakami, kiedy przejeżdżał z hotelu do portu, dając tym sposobem wyraz sympatji koledze swemu Barttelotowi, a zarazem potępienia Stanleyowi, Ta manifestacja ma dużo znaczenia.

W każdym razie zwrot opinii szczególniej nagły, zdumiewający.

Ale nie dosyć na tem. Płynący w tej chwili do Ameryki Stanley ani wie jaką, szykuje mu niespodziankę porucznik Troup. Oto onegdaj w niedzielę odpłynął także za Stanleyem do New-Yorku. Troup oświadcza w dziennikach, że jest zdecydowany na wszystko, a już to głównie zamierza uprzedzić Stanleya w konferencjach w ten sposób, że wszędzie gdzie Stanley przybędzie z odczytem, znajdzie już grunt przez Troupa przygotowany, i publiczność będzie już po odczycie wiedziała o samym Stanleyu, i jego wielu czynach dotąd milczeniem pokrytych

„To jest Shylok Afryki środkowej, — woła z emfazą Troup, w jednej ze swych odezw, — to jest ohydny, chciwy spekulant, dla którego krew ludzka, życie innych judzi nie ma żadnego znaczenia. O filantropii jego mówią? O ironio! On ma tyle filantropii, co mają buty".

Rzecz godna uwagi, że z poglądem tym na Stanleya łączy się także i doktor Peters, który w ostatniej „Contemporary Review" podnosząc ostatni frazes Troupa, powiada: „I pocóż to bez potrzeby ubliżać butom?..."

Zaszedł tu fakt nie mający nic równego. Kardynał Manning obchodził 25 letni jubileusz

biskupstwa swego w Londynie i z tego powodu otrzymał nader liczne powinszowania, adresy, przyjmował wiele deputacyj i t. p. Otóż w liczbie deputacyj znalazło się grono przedniejszych żydów londyńskich z Isacsem lordem majorem i Adlerem, wielkim rabinem na czele, oraz p. Montefiore, który przemawiał i w imieniu tego grona ofiarował pamiątkowe album. Kardynał przyjął album i podziękował w kilku wyrazach.

Ale teraz dopiero poczęły się trawestacye tych słów kardynała, i jak dzienniki jęły się je powtarzać, tak doszło do tego, że utarta obecnie wersja w takiej przedstawia się postaci. Jako katolik obowiązany jestem szanować religję izraelską, chylić przed nią czoło, i być takim zawsze. Inaczej nie byłbym katolikiem. Możecie na to liczyć w każdej sposobności.

Ogromnie zaciekawiony tą nową facecją, chciałem się koniecznie dowiedzieć jaki był autentyczny tekst słów kardynała. Otóż kardynał Manning powiedział dosłownie tyle:

„*I should not be tonc to wy own faith, if I did not venerate yours*". Nie byłbym wiernym (właściwie prawdziwym wyznawcą) mojej własnej wierze, gdybym waszej nie szanował.

Można się godzić lub nie godzić na te słowa cokolwiek elastyczne, —powiedziałbym, ale każdy widzi, te to jest co innego, a co innego tamta wersja, zdająca się poprostu mówić: „Nie byłbym katolikiem, gdybym nie był żydem".

Rocznicę spisku prochowego 1605) obchodziła gawiedź, jak zwykle, d. 5 t. m. Jest to dzień ulubiony żaków szkolnych; miesiąc cały trwają przygotowania: składki, zakupno ogni bengalskich i najnowszych wynalazków pirotechniczych, urządzanie pochodów, strojenie figur alegoryzcnych i historycznych. Zarówno w Eton i w Oxfordzie, jak w najbiedniejszej szkółce wiejskiej, „dzień Gwidona Fawkes'a" kończy się mniej lub więcej świetnemi ogniami i procesjami. W Londynie, już od rana słyszeć można chłopców, śpiewających starożytną piosnkę:

Remember, remember
The fifth of November —
Guy Fawkes's horrible plot!
We see no reason,
Why Gun-Powder treason
*Should ever be forgot!**)

Między siódmą i dziewiątą wieczorem niema domu, gdzieby w podwórzu lub ogrodzie nie wybuchały ognie sztuczne, lub choć stos gałęzi nie płonął. Tego roku pospólstwo dzielnicy Hampstead, zamiast obwodzić starego Gwidona, Papieża — lub... Gladstone'a albo lorda Salibury'ego — i palić ich podobizny przed nocą, ciągnęło po ulicach wóz z grupą, przedstawiającą morderczynię Hogg'owej i jej dziecka, ubraną czarno z białym skrwawionym fartuchem. Obok *mistress* Pearcey stał na wozie Hogg, jej kochanek.., z roześmianą twarzą. Wśród krzyków i groźb spalono grupę o północy przed domem nieszczęśliwego wdowca.

*) Pamiętaj piąty listopada, Gwidona Fawkes'a okropny spisek!. Niewidzimy, dla czego zdrada prochowa miałaby kiedykolwiek być zapomianą! — Piosnka ta była spiewaną w Londynie po raz pierwszy w r. 1606.

Serce Szekspira.

Dzienniki angielskie donoszą, że odkryto nazwisko, grobowiec i wizerunek kochanki Szekspira. Zamiast „kochanki" właściwiej byłoby może powiedzieć: kobiety ukochanej. Wiadomo oddawna, że nie była nią ślubna jego żona. Tej ostatniej w ironicznym swym testamencie zapisał wielki poeta tylko... łóżko. Kochanka otrzymała spuściznę nieskończenie wspanialszą, bo połowę niemal bukietu poetycznego, który się sonetami Szekspira nazywa.

Te właśnie sonety zdradziły światu tajemnicę szekspirowego serca. Pierwszym, który je odczytał, był jeden z synów Wiktora Hugo, tłómacz Szekspira. Nietylko z ułamkowych wyznań i napomnień odtworzył on materyalne i moralne oblicze kochanki, ale nadto skreślił całe dzieje miłości i stwierdził, że była tragiczną. Czyż mogła być inną?

Przez długi czas powątpiewano, czy Szekspir miał serce. Przez zaliczenia do genjuszów przedmiotowych, uczyniono z niego istotę, wyższą nad powszednie ludzkie namiętności. W świątyniach poezji autor „Hamleta" wyobrażony był pod postacią bóstwa bezpłciowego, bezbolesciowego o niemrużącem się nigdy oku i piersi kamiennej. Patrzył i doświadczył, ale żadne z badanych uczuć nie przedostawało się do jego krwi — tak samo jak do krwi Pasteur'a nie dostaje się mikrob wścieklizny, z którym ma wciąż do czynienia.

Wyborna formułka dla starych podręczników estetycznych, które na niej budowały cały system przedmiotowości w sztuce.

Tymczasem przedmiotowość owa jest barką, która potąd bałamuci niepotrzebnie słabsze umysły. Wszystkie dzieła Szekspira mówią nam przedewszystkiem o Szekspirze, tak jak wszystkie dzieła Goethego o Goethem. We wszystkiem co stworzone, widzimy twórców, a jeśli niepodobni oni do Jana lub Pawła, tylko do mnie lub do ciebie, to tylko dowodzi, jak dusza ludzka w jedności swej jest rozmaitą. Zresztą, w najdziwaczniejszej z pozoru organizacji duchowej — nawet tak wyanielonej jak Danta, tak rozpasanej jak Rabelais'go, lub tak wyrafinowanej jak Shelley'a każdy z nas choć cząstkę samego siebie odnajdzie.

Więc i Szekspir nie był tylko okiem, które śledzi, i ręką, która dotyka. Był on człowiekiem jak wszyscy i jak wszyscy miał serce.

Wieść przeto dziennikarska, przez prasę zagraniczną silnie rozdmuchana, nie przynosi nam w gruncie rzeczy nic nowego. Uzupełnia tylko sprawę, znaną nieznanemi a podrzędnemi szczegółami. Nie odsłania serca poety, które i bez niej znaliśmy, nie przedstawia nawet w nowem świetle jego stosunku miłosnego; poucza tylko jakie nazwisko nosiła kochana przezeń kobieta i jak prawdopodobnie wyglądała.

Ostatni szczegół mógłby być ciekawym — ale i on nie jest zupełnie nowy. Od starego wyblakłego portretu, jaki znaleziono w grobowcu żywszym niezawodnie okaże się wizerunek, własną ręką poety skreślony w „sonetach".

Niewiele tam rysów, ale te, jakie są, wystarczą.

Najpierw więc co do zewnętrzności:

„W dawnych czasach brunetki nie zaliczały się do piękności, a choć która była naprawdę piękną, imienia pięknej nie nosiła. Dziś spadło na nie wyłączne dziedzictwo piękności, choć otrzymały też w spadku i oszczerstwo.

„Oczy mojej ukochanej czarne są jak pióra kruka i dobrze im z tą czarnością, gdyż zdają się nosić żałobę po piękności tych fałszywych wdzięków, które urodziwszy się jasnowłosemi, spotwarzają naturę fałszywie przybraną barwą.

„Kolor żałobny tak cudnie zdobi smętne jej oczy, że wszyscy mówią: Zaprawdę, prawdziwa piękność powinna być — czarnooką“.

Ten sonet wymaga kilku dodatkowych objaśnień. Anglicy, przez samochwalstwo zapewne uwielbiali zawsze blondynki, których u nich najwięcej. Z tego nawet powodu, wyraz *fair* znaczy w języku angielskim jednocześnie: jasnowłosy i piękny. Szekspir na tej grze słów opiera pierwszą połowę sonetu; w drugiej zaś gromi współczesne wykwintnisie, które swe czarne włosy ukrywały pod jasną peruką. Kochanka jego, jak widzimy, do tych ostatnich nie należała.

Nie należała też do tak zwanych „klasycznych“ piękności. Tem naturalniejsze to, że trudno przypuścić. aby tak nawskróś ludzki poeta jak Szekspir, mógł się zakochać w posągu. Nie miała więc jego wybrana ani ciała Minerwy, ani ramion Wenery, ani profilu Junony, nie była też bynajmniej wcieleniem wszystkich fizycznych doskonałości.

Posłuchajmy, co o niej mówi ten wyjątkowy kochanek, któremu miłość oczów naprawdę nie zamyka:

„Oczy mojej lubej nie mają bynajmniej blasku słonecznego; koral jest o wiele od jej warg czerwieńszy, a jeśli białym nazywamy śnieg to ciało jej ciemnem nazwać wypadnie. Kto twierdzi wreszcie, że włosy pięknej kobiety złotą przędzą być powinny, niech się dowie, że jej głowę czarny włos pokrywa.

„Widziałem róże kaszemirskie, białe i różowe, ale na licach mej lubej róż takich nie dostrzegłem. Muszę też wyznać, że są zapachy silniejsze od ust jej oddechu.

„Lubię słuchać gdy mówi, a jednak wiem dobrze, iż muzyka melodyjniejszą jest od jej głosu. Nie widziałem wprawdzie jak chodzą boginie, ale to wiem, że luba moja, chodząc, nie odrywa się bynajmniej od ziemi.

„Wszystko to wiem i przyznaję — a jednak klnę się na niebo! że ta, którą ukochałem, jest równie piękną, jak wszystkie wdziękinie, fałszywemi pochlebstwami okadzane!“.

Tę postać żywotną, prawie namacalną, która nie rozpływa się w mgle patetycznych wykrzykników, właściwych romantykom, ubierzmy w szaty dam dworskich królowej Elżbiety (bo zkądinąd wiadomo, że do grona ich należała), a malarski jej wizerunek będzie gotowy.

Narówni wszakże z zewnętrznością, obchodzi nas jej podobizna duchowa.

Niejeden powie:

— Musiał to być umysł potężny i serce w skarby uczucia wyposażone, skoro zhołdować sobie potrafiły takiego jak Szekspir tyrana...

Rzecz się ma nieco inaczej.

C. d. n.

Z nowel Tołstoja.

Dwaj staruszkowie.

Dwaj staruszkowie ślubowali odbyć pielgrzymkę do Jerozolimy. Jeden z nich zamożny kmieć; nazywano go Josim Tarasicz Szewelew drugi, chudzina Jelisej Bodrow.
Josim był honorny chłop, nie pił wódki, nie palił, ni tabaki zażywał, nie klął też nigdy i gdzie go tknąć skróś uczciwy.

Dwa razy z kolei siedział na wójtowstwie a zawdy sprawiedliwie. Mieszkał razem z dwoma synami i żonatym wnukiem. Był zaś zdrowy jak orzech z siódmym krzyżykiem, co mu się broda poczęła srebrzyć.

Jelisej starowinka ni bogaty ni całkiem biedny wychodził — bywało dawniej — na ciesielkę, upadłszy na siłach, siedział w doma i robił wedle pszczół. Jeden syn poszedł w świat za robotą — drugi zaś przy ojcu. Jelisej był dobroduszny a pogodny i wesoły jak zorza. Zdarzy się okazja bywało i krzynkę wódki napije i zażyje tabaczki; jakie lubił i umiał spiewać piosneczki!.. Ale był cichy i spokojny człeczyna, żył w zgodzie jak Bóg przykazał z każdym sąsiadem. Mały wzrostem, z czarną krętą bródką a łysiutką głową; wypisz: wymaluj cały prorok Elizeusz.

— O, ślubowali sobie od dawna i umówili się wyjść razem, ale Tarasiewiczowi zawsze brak czasu: Ledwie zaś odsapnął po jednej sprawie jużeś trzeba drugą poczynać; to żeń wnuka, to czekaj wracającego z wojska najmłodszego syna a tu trzeba i dom przebudować!...

Aż jakoś raz w święto zeszli się staruszkowie i posiadali na belkach.

— Kiedyż to kmieciu, począł Jelisej wypełnimy nasz ślub? Josim ściągnął brwi.

— Oj, jeszcze nie czas rzecze. — Straszny nawał w tym roku — zacząłem dom budować, myśląc se: mało co nad sto rubli wydasz na to; a tu i trzecią zmieniłem setkę a dom jeszcze goły. Przed latem ani weź! W lato jak Bóg da, nogi zapas i bajka.

— Ja zaś rzekę: nie żmudzić, a póki wiosna w drogę.

— Niech sobie wiosna! A robota, to nic? trzeba się wprzód z nią uporać.

— Albo nie masz wyręczenia? A syn gdzie?

— Czy to on wszystkiemu podoła? O najstarszym i nie mówię, na tego ani patrz.

— To niech się nauczy. Jak skoro pomrzemy batku, dadzą se i bez nas rady.

Jużeś — muszą. Ale chciałbym ot, dać pozór.

— Oh, duszo moja, wszystkie roboty nikaj nie podołasz. Onegdaj moje kobiety myją, szorują na święto. I to i owo robić trzeba, a tu brak czasu i rąk. Najstarsza synowa — mudryk baba, rzecze: „Święto nie poczeka, przyjdzie samo Bogu dzięki. Bo i tak choćbyś ręce po łokcie zarobił, nie wydołasz wszystkiemu“. Zamyślił się Tarasicz.

— Moc grosza wypakowałem w tę budowę

a z próżnemi rękoma iść trudno. Sto rubli, to nie fraszki.

Jelisej roześmiał się.

— Oj nie grzeszyłbyś batku. Gadasz o pieniądzach — choceś dziesięć razy zapaśniejszy odemnie. Rzeknij, kiedy wyjdziem. Nie mam grosza w kupie, ale na drogę się zdobędę.

Uśmiechnął się Tarasicz.

— Ile, he! cóż to z ciebie za bogacz! A z kądże ty weźmiesz pieniędzy?

Pozmiatam, co się da po kątach — postaram się, odstąpię co lepsze ule sąsiadowi ułasi się o nie oddawna.

A potem zaś pożałujesz tego jak dobry rój wypadnie.

Pożałuję? Oj nie kumciu. Niczego w życiu, prócz grzechów nie pożałowałem. A cóż masz nad duszę.

Juźci prawda, ale godzi się to zostawić dom w nieporządku.

Niech ino dusza będzie w porządku — to lepiej. Ślubowaliśmy — więc idźmy.

2.

Jelisej przekonał towarzysza. Josim myślał i myślał, aż rankiem przychodzi do Jeliseja.

— Chodźmy rzecze. Prawdęś powiedział. Człowiek raz żyje. Dał Bóg jeszcze siły — to trzeba iść.

W tydzień byli gotowi do drogi.

Tarasicz miał pieniędzy poddostatkiem. Dobył sto dziewięćdziesiąt rubli na drogę — dwieście zostawił starej.

I Jelisej się takoż uładził. Za siedemdziesiąt rubli odstąpił sąsiadowi dziesięć pni z przychowkiem; trzydzieści rubli pozbierał w domu; stara oddała mu nawet swój grosz ostatni, odłożony na swój pochowek i synowa dała co miała. Jesim Tarasicz rozporządził robotą; wskazał najstarszemu z kąd i ile zebrać siana — gdzie zwieść nawozu, jak kończyć i okryć dom. Rozważył wszystko i zarządził.

Jelisej polecił tylko starej, odłączyć przychowek od sprzedanych pni i takowe, nie spiesząc się sąsiadowi odstawić. O sprawach domowych nie poczynał nawet, ona już sama wie, co jak zrobić wypada.

Upiekli kołaczy — poszyli worki i pocięli onuce; starzy ozuli nowe buty — zabrali na zapas lipowe kierbce i poszli. Swojaki odprowadziwszy ich kawałek drogi pożegnali.

Jelisej bardzo wesół; straciwszy wieś z oczu, zapomniał o wszystkiem. Myślał jeno jakby towarzyszowi wygodzić, nikomu nie rzec złego słowa, dojść do celu w zgodzie i spokoju i szczęśliwie wrócić do zagrody. Więc albo szepcze zdrowaśki, albo opowie ustęp z żywotów świętych. Spotka człowieka po drodze, albo zajdzie na nocleg — uśmiechnie się życzliwie do tego, owego serdecznie pozdrowi. Idzie i raduje się bardzo. Była chwila, że nie mógł się wstrzymać: jak wiadomo chciał odzwyczaić się od zażywania tabaki, w tym celu lubianą tabakierkę w domu zostawił; ale brak mu było czegoś. Po drodze dostał szczyptę tabaki w podarunku; przystaje tedy od czasu do czasu za towarzyszem, żeby go nie wieść na pokuszenie i zażywa... zażywa!...

I Josim Tarasicz wyciaga nogi niezgorzej, nie czyni nic zdrożnego — ani nie mówi o rzeczach znikomych, ale rób co chcesz: ciężko mu jakosik na duszy. W głowie siedzi ćwiekiem troska o gospodarstwo. Duma więc a co też tam teraz w domu; czy czego nie przepomiał nakazać, czy syn wszystkiemu podoła? Spojrzy po drodze, tu sadzą ziemniaki — zaś gnoją pole i myśli znów o swoich. Aj, jakże by się rad wrócił!...

3.

I tak szli staruszkowie od pięciu prawie tygodni, zdarli już kierbce łubniowe, musieli kupić nowe; tak doszli do Małorusinów. Dotąd płacili zawsze za obiad i wieczerzę. Małorusini jednak przesadzali się dla nich w gościnności, przenocowali, nakarmili, nie wziąwszy ani grosza nakładli im jeszcze do torb chleba i kołaczy na drogę.

Tak uszli staruszkowie do siedmiuset wiorst przeszli jeszcze jedną gubernię — aż przyszli w kraj nawiedzony nieurodzajem. Ludzie przyjmowali ich co prawda chętnie — dawali nocleg, ale jedzeniem nie częstowali. Chleba nie dostać, nawet za pieniądze. Łońskiego roku, opowiadali ludzie — nic nie zeszło. Bogaci zbiednieli — musieli wszystko sprzedać a biedacy albo poszli w świat, albo na żebry — lub też dyszą w chatach o karze i otrębach.

Starzy zanocowawszy w jednej miejscowości zakupili do 15 funtów chleba i wyruszyli przed świtem, aby uniknąć spieki. Uszli 10 wiorst, i stanęli nad rzeczką; usiedli, zaczerpnąwszy wody z rzeczułki, umaczali w niej chleb, jedli i zmienili onucki. Jelisej dobył swojej tabakierki na co Josim Tarasicz pokiwał.

— Czemu tego paskudztwa nie wyrzucisz? Jelisej zaprzeczył ręką: —„Ot, grzech mnie zmógł rzecze — tak co robić.

I odpocząwszy, dalej w drogę. Dziesięć wiorst dalej natknęli się na dużą wieś. A tu straszna spieka. Jelisej ledwie za sobą wlókł nogi, radby wytchnąć i napić się wody ale Tarasicz szparko, zaś Jelisej wlókł się za nim z trudnością.

Popiłbym trochę, stękał.

— A pij — mnie się nie chce.

Jelisej stanął.

Nie, nie zatrzymuj się. Wstąpię jeno do chaty, napić się.

Dogonię cię duchem.

— Zgoda—. I Josim Tarasicz poszedł dalej; Jelisej zaś ku chacie.

Chatynka mała, spodem szlak czarny, wierzchem biała, a glina w niej poodpadała. Wejście od podwórka. Jelisej wchodzi na podwórze, spostrzega gołowąsego chudego człowieka leżącego na ziemi, koszula w spodniach zwyczajnie małorusini.

C. d. n.